

Sprawę świętego Stanisława przedstawiłem w podręczniku *Dzieje Polski średniowiecznej* (Kraków 1926) na gruncie nader obfitej literatury naukowej, starając się jak najostrożniej i jak najobiektywniej ująć to zagadnienie, drażliwe nie tylko dla dzisiejszych pokoleń, ale widocznie i dla ówczesnych ludzi — choć oczywiście z odmiennych przyczyn, skoro jedyne współczesne źródło, tj. kronika tzw. Galla Anonima, tylko ogólnikowo, a zatem dla nas niejasno, o tej sprawie napomknęła, najwyraźniej celowo uchylając się od przedstawienia bardziej szczegółowego, właśnie ze względu na ówczesne drażliwość tej sprawy. Gdy pisałem odnośny ustęp, wydawało mi się, że to już sprawa właściwie zamknięta, choć wyjaśniona tylko w niewystarczającym stopniu, ale zamknięta dlatego, że na podstawie znanych nie da się już powiedzieć w tej materii, a prawie że nie ma żadnej nadziei, by się mogło gdzieś jeszcze znaleźć jakieś dotąd nie odkryte źródło, które by rzucić mogło nowe światło na ten niezwykle zagadkowy i ciemny epizod naszych dziejów.

Tymczasem równocześnie z I tomem *Dziejów Polski średniowiecznej*, w roku 1925/1926, w *Księdze pamiątkowej ku czci Oswalda Balzera* ukazała się rozprawa Władysława Semkowicza *Sprawa św. Stanisława w świetle nowego źródła ikonograficznego* (Kraków 1925). A więc to, co się wydawało już mało prawdopodobne, jednak stało się: mianowicie wypłynęło na widownię nowe źródło, dotąd nie znane i nie użytkowane, źródło obrazowe, przedstawiające legendę o św. Stanisławie w kilku scenach, a pochodzące — wedle wywodów prof. Semkowicza — z drugiej połowy XII w., więc sprzed okresu starań o kanonizację, przeto choć niewspółczesne wypadkom, przecież zdolne rzucić nieco autentycznego światła na przebieg sprawy.

Jednakże już w 3 lata później w „Roczniku Zakładu Narod. im. Ossolińskich”, t. I-II za r. 1927/1928, ukazało się znacznie obszerniejsze studium o tymże zabytku, zmieniające bardzo gruntownie i zasadniczo pogląd na czas jego powstania (druga połowa XIII w.) i na jego ewentualne znaczenie dla odtworzenia przebiegu sprawy św. Stanisława. Studium to nosi tytuł *Początki kultu św. Stanisława i jego średniowieczny zabytek w Szwecji*, a wyszło spod pióra Mieczysława Gębarowicza, znakomitego historyka-mediewisty, a zarazem historyka sztuki, a więc autora o wybitnym dla danej kwestii autorytecie naukowym, gdzie dużo zależało od oceny czasu powstania odnośnego zabytku, bo od tego zawisła możliwość użytkowania go dla historii jako źródła zabytkowego. Wszak inne miałyby ono znaczenie, gdyby istotnie pochodziło — jak przyjmował prof. Semkowicz — z XII w., a inne, jeśli się je uzna za zabytek z czasów po uroczystej kanonizacji św. Stanisława, bo wtedy będzie w nim można widzieć jedynie ilustrację do legendy upowszechnionej rozgłoszonym w całym chrześcijaństwie

faktem kanonizacji.

Zarysowała się więc w obliczu tego nowego źródła zasadnicza różnica zdań dwóch wybitnych uczonych; będzie zatem naszą rzeczą rozważyć argumenty obu stron, by sobie wyrobić zdanie, jaką istotnie wartość źródłu temu można przypisać i o ile ono zdolne jest dorzucić coś do tego, co już w sprawie św. Stanisława z poprzednich badań było wiadomo.

Ale nie na tym koniec. W roku bowiem 1937 ukazała się w „Kwartalniku Historycznym” (R. 51, z. 3) rozprawa tegoż samego Mieczysława Gębarowicza pod dość małym tytułem : *Polska, Węgry czy Sycylia odbiorcą listu Paschalisa II* J, J.-L. nr 6570. Autor zajął się tu ustaleniem, do którego z tych trzech krajów odnosi się pewien list papieża Paschalisa II, i udowadnia — wydaje mi się, że ponad wszelką wątpliwość i niezwykle metodycznie — iż odnosi się do Polski. Wątpliwości powstały stąd, że w licznych kopiach (bo oryginał tej bulli się nie zachował) adres miał rozmaite brzmienie, a treść sama przez się na pierwszy rzut oka wyraźnie nie przesądzała, kto miał być odbiorcą pisma papieskiego. Było ono drukowane kilkanaście razy w różnych wydawnictwach, specjalnie zaś w r. 1877 przedrukowane w I tomie Kodeksu *dyplomatycznego Wielkopolski*, a więc jak najlepiej uprzyjętnione polskim historykom. Ci polscy historycy poprzedniego pokolenia znali dobrze tę bullę, ale dość jednomyślnie orzekli, że nie odnosi się ona do Polski. Toteż w wielkiej dyskusji „w sprawie św. Stanisława”, zainicjowanej w r. 1909 przez „Przegląd Powszechny”, biorący w niej udział liczni nasi historycy zupełnie tego pisma nie wciągali w swe rozważania, rozumiejąc, że ono istotnie nie odnosi się do Polski. Nie zdziwi nas też, że gdy w r. 1937 Zofia Kozłowska-Budkowa wydała w publikacjach PAU *Repertorium polskich dokumentów doby piastowskiej* (z. I, do końca XII w.), zarejestrowała wprawdzie tę bullę pod nr 22, jako już objętą polskimi dyplomatariuszami, ale zaraz w nagłówku pomieściła uwagę: „Nie dotyczy Polski”, co w przypiskach starała się bliżej uzasadnić, po prostu odwołując się do nazwisk W. Abrahama, S. Kętrzyńskiego i ks. J. Fijałka, od siebie dodając na końcu pewne uwagi metodyczne na temat, jak mogły powstać owe różnice w kopiach, dotyczące adresata listu papieskiego.

Otóż te właśnie uwagi oraz fakt, że w wydanym przez PAU *Repertorium* list papieża Paschalisa II został tak stanowczo i definitywnie wyłączony spośród źródeł do historii polskiej, był bezpośrednią pobudką dla prof. Gębarowicza do wystąpienia z rozprawą, która w sposób jak najbardziej metodycznie wzorowy rewindykuje ten dokument z powrotem dla historii polskiej. De facto jest to źródło nowe, bo choć znane od dawna, ale wyeliminowane z badań, nie zostało dotąd wykorzystane dla naszej historii. A i prof. Gębarowicz właściwie nie uczynił tego, poprzestając jedynie na przeprowadzeniu dowodu, że jest to źródło należące do dziejów Polski, które powinno być w tym względzie wyzyskane.

W sposób więc jak najbardziej i nieoczekiwany, niespodziany, przybyło nam do kwestii,

która już wydawała się zamknięta, naprawdę nowe źródło, i to źródło pisane, a więc najbardziej właściwy dla historyka materiał i podstawa badań, podczas gdy źródło zabytkowe, obrazowe, może mieć jedynie dodatkowe znaczenie. Jak widzimy — jest dość materiałów do rewizji „sprawy św. Stanisława” jako zagadnienia historycznego. Prof. Gębarowicz orzekł w swej rozprawie, że list papieża Paschalisa II „posiada kapitalne znaczenie jako dokument pierwszorzędnej wagi”, i zakończył swą pracę nieco ironicznym zapytaniem: „Czy nauka nasza nie miała rzeczywiście pilniejszego zadania, jak rezygnować dobrowolnie ze źródła o tym ciężarze gatunkowym?”

Istotnie — musimy to uznać za nieco zawstydzające, że przed prof. Gębarowiczem przez kilkadziesiąt lat, licząc co najmniej od momentu, gdy list papieża Paschalisa II ukazał się w naszych wydawnictwach w pełnym tekście, nikt nie zadał sobie trudu, by dokładniej zbadać kwestię jego intytulacji, i bez takich dokładniejszych badań zbyt pochopnie, niemal lekkomyślnie, wyłączono ten dokument ze źródeł polskich, rezygnując ze użytkowania go dla historii polskiej, a odstępując krajom innym, które naprawdę nie wiedziały, co z nim zrobić, bo treści jego nie umiały wcielić do własnych dziejów! Skoro zaś prof. Gębarowicz poprzestał tylko na bardzo krótkich uwagach odnośnie do treści listu Paschalisa II i jego związku ze „sprawą św. Stanisława”, będę więc miał przy mojej rewizji tę satysfakcję, że po raz pierwszy wprowadzę to nowe i świeże źródło do sprawy tylekroć już i tak sprzecznie osądzanej i rozstrzyganej co do jej faktycznego przebiegu.

Obecnie, po drugiej wojnie światowej, przybyły nowe studia o „sprawie św. Stanisława”, mające charakter przyczynkowy, jak zwłaszcza Karola Górskiego, ks. Józefa Umińskiego i inne, których jednak w tym miejscu w tok moich wywodów nie włączam.

Stan badań nad „sprawą św. Stanisława” około r. 1925 przedstawiał się w ten sposób że obok dawniejszej, już wcale obfitej literatury tego przedmiotu, urosła w ciągu kilku lat nader ożywionej dyskusji i ostrej niekiedy polemiki nowa bardzo obfita literatura naukowa (i półnaukowa), która mimo wszelkich indywidualnych różnic między nader licznymi autorami dzieli ich wszystkich razem jakby na dwa obozy. Przywódcą jednego z nich, który zarazem swoim wystąpieniem w r. 1904 całą tę niezwykle gorącą dyskusję wywołał, był Tadeusz Wojciechowski, autor *Szkiców historycznych XI wieku*, gdzie w paru szkicach zajął się „sprawą św. Stanisława”, starając się ją wyświecić na podstawie tekstu kroniki Galla Anonima, poddanego odpowiedniej, jego zdaniem jedynie właściwej, emendacji i interpretacji. We wstępie do odnośnego szkicu zaznaczył, iż zdaje sobie sprawę, że czytanie jego może być przykre z powodu ustępów o św. Stanisławie. Zapewniał, „że nie było też łatwo pisać te szkice; oprócz trudności rzeczowych niepokoiła obawa, czy się nie jest oszczercą, który kala narodową świętość”. Mimo to w myśl zasady, że „amicus Plato, sed magis amica veritas”,

nie cofnął się przed wynikami, do jakich doszedł mianowicie do wniosku, że biskup krakowski Stanisław został za zdradę skazany na karę śmierci przez tzw. obruncatio membrorum, czyli poćwiartowanie. W zakończeniu szkicu wyraził się prof. Wojciechowski, że „sprawa św. Stanisława” jest przegrana.

Ten właśnie „wyrok” podziałał drażniąco i dotknął boleśnie tych historyków polskich, którzy jako katolicy mieć mogli się pogodzić z takim werdyktem i uważali za swój obowiązek stanąć w obronie tej rzekomo „straconej” sprawy. W ten sposób prof. Wojciechowski mimowolnie zmobilizował przeciw sobie, przeciw swojej pracy, liczny obóz przeciwników, nieraz wybitnych uczonych, zawodowych historyków, którzy wystąpili istotnie rychło, i to zbiorowo, do walki z jego tezą i z jego argumentami. Ze zaś teza Wojciechowskiego, jak powiedziałem, polegała niemal wyłącznie na odnośnym ustępie kroniki Galia i jego interpretacji, przeto całe usiłowanie tych licznych oponentów poszło głównie w kierunku — 1) podważenia wiarygodności tej kroniki oraz 2) wykazania, że interpretacja Wojciechowskiego jest metodycznie niedopuszczalna, dowolna, a więc i jej wyniki są eo ipso fałszywe, zasługują jedynie na bezwzględne odrzucenie. Chcąc zaś na gruncie w ten sposób oczyszczonym postawić i umotywić własny odmienny pogląd, zmuszeni byli — po odrzuceniu relacji kroniki Galia Anonima — oprzeć się na późniejszej o sto lat kronice mistrza Wincentego Kadłubka. Rzecz ta metodycznie obronić się nie da i za poprawną uchodzić nie może.

Istotą sporu było pewne określenie specjalne w kronice Galia Anonima. Dlatego przytoczę tu odnośny, zresztą krótki, ustęp i w paru słowach 'wyjaśnię stanowisko obu stron dyskutujących.

Ustęp ten brzmi: „Qualiter autem rex. Boleslaus de Polonia sit eiectus, longum existit enarrare, sed hoc dicere licet, quia non debuit christianus in christianos [christianus in christianum] peccatum quodlibet corporaliter vindicare. Illud enim sibi multum nocuit, cum peccato peccatum adhibuit, cum pro tradicionem pontificem truncacioni membrorum adhibuit. Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem, vindicantem sic se turpiter commen-damus, sed hoc in medio deseramus, et ut in Ungaria receptus fuerit, disseramus”. Wojciechowski emendował „christianus” na „christus” (i król i biskup).

Stąd właśnie wrzawa przeciwników, że to dowolność, niemetodyczność, wywracanie tekstu do góry nogami itp., a nawet, że Wojciechowski jest narzędziem propagandy antykościelnej, żydowskiej etc.

Niespodziewanie na uśmierzenie i wprost przerwanie dyskusji wpłynęła rozprawka Stanisława Krzyżanowskiego, *Na marginesie Galla*, która wykazała, że wszystkie rękopisy mają tekst „Christus in Christum”, a więc wedle trafnej, podziwu godnej intuicji ociemniałego wówczas prof. Wojciechowskiego, który sam do rękopisów nie sięgał, wierząc wydawcom. To jest też główny,

niemal wyłączny plon całej tej dość jałowej i dziś już bezprzedmiotowej, przedawnionej dyskusji: ustalenie brzmienia i sensu przekazu kroniki Galia. Ale cała ta „sprawa św. Stanisława” była i chronologicznie, i rzeczowo splątana ze sprawą wypędzenia Bolesława Śmiałego z Polski, czyli nagłego, gwałtownego zakończenia jego królewskich rządów, a objęciem ich w książęcym tylko charakterze przez jego młodszego brata, Władysława Hermana. Toteż w zasadzie wszyscy historycy sprawy te traktowali w swych badaniach łącznie, nawet jeśli je rozdzielali od siebie jako sprawy odrębne, tylko chronologicznie, a nie przyczynowo ze sobą związane. Dla jasności zatem obrazu należy trochę uwagi poświęcić tej sprawie drugiej, tj. wygnaniu Śmiałego króla z Polski.

I tu wyłącznym źródłem jest kronika Galla Anonima, której tekst również i w tym miejscu jest zepsuty i domagał się emendacji. Tekst ten brzmi w głównym dla nas miejscu, jak następuje (zwracam tu uwagę na rytmikę i rym tekstu):

Cum audisset Wladislaus Boleslaum advenire, Partim gaudet ax amico, partim restat locus ire; Partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, Sed deferre Wladislaio facto dolet inimico.

Wojciechowski przyznał się w *Szkicach*: „czytałem ten ustęp wiele razy i nie mogłem go wyrozumieć. Sądziłem zatem, że tekst ostatniego zdania jest skażony, bo wydawało mi się, że nie ma sensu. Aż w końcu spostrzegłem, że ani tekst zepsuty, ani brak sensu, tylko trzeba tak rozumieć, że gdy Władysław wymieniony w pierwszym zdaniu jest Władysławem Węgierskim, to wymieniony przy końcu jest Władysławem Hermanem” Po czym podał swoje rozumienie tekstu. Nim je przytoczę, dodam, że inni historycy odczuwali tu trudną do usunięcia wadę tekstu, uniemożliwiającą w tak ważnym miejscu jego zrozumienie; w szczególności ostatni wydawcy kroniki Galia Anonima pozwolili sobie na poprawkę tekstu bardzo daleko idącą: zamiast „sed deferre Wladislaio facto dolet inimico”, dali „sed de terre [!] Boleslai [!] fato [!] dolet inimico” “. Wojciechowski słusznie uznał tę koniekturę za „nad wyraz dowolną” i „arcyniefortunną”! Tak można by każdy niejasny tekst swobodnie rozjaśnić i uzyskać sens, jakiego się w danym miejscu pragnie! Obowiązuje zasada wyrozumienia oryginalnego tekstu, a dopiero gdy żadna próba nie daje wyniku, dopuszczalna jest emendacja, która musi być ściśle uzasadniona czy luką tekstu, czy paleograficzną pomyłką kopisty itp. Takie poprawki trzech wyrazów naraz, i to imienia własnego, są nadmiernie ryzykowne! Istotnie też emendacja Kętrzyńskiego i Finkla nie znalazła poważniejszych zwolenników i nie utrzymała się w nauce.

Wracam do tłumaczenia Wojciechowskiego. Nie jest ono dosłowne, lecz skrócone, i tylko usiłuje oddać sens istotny:

„Cieszył się Władysław Węgierski na przyjazd Bolesława, jako brata i sprzymierzeńca, ale chowa też w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi Hermanowi, że stał mu się wrogiem". Do tego swojego rozumienia dodał jako jedyne wyjaśnienie w przypisku cytata ze słownika łaciny średniowiecznej Du Cange'a, że wyraz „deferre" znaczy „excusare", a więc wybaczyć, usprawiedliwić itp. A szkoda, bo mimo tego zrównania dosłowne tłumaczenie wcale nie jest łatwe: „sed deferre Wladislao facto dolet inimico" (=) lecz boleje, że wybaczyć Władysławowi, który stał się wrogiem (co? — musi, nie może, czy coś podobnego?). Toteż krytykowano to tłumaczenie, dawano inne, ale wszystkie chromały i budziły wątpliwości. Aż wreszcie emendacja przeprowadzona przez rosyjskiego historyka Saengera wygładziła tekst, mianowicie (prócz drobniejszych poprawek, jak „ex amico" w pierwszym wierszu na „ex animo", opuszczenie zbędnego drugiego „partim", winien tu być inny wyraz dwuzgłoskowy) główna poprawka to „deferre" na „de fratre".- Uzasadnienie jej znajduje się w tej samej kronice w innym ustępie, mianowicie w II ks., § 39, gdzie mowa jest o walkach i zatargach Bolesława Krzywoustego ze Zbigniewem; kronikarz mówi, że Bolesław odmówieniem pomocy przez Zbigniewa strapił się, ale swych zamierzeń co do walki z Pomorzanami nie poniechał, „cor habens in domino, non infere" (= „in fratre!"). Paleograficznie możliwa pomyłka w odczytaniu „defre", „in fre".

Cóż z tego wynika ostatecznie? Oto, że i tu Wojciechowski wiedziony trafną intuicją, po mistrzowsku przeniknął sens tego ustępu, choć niezbędnej emendacji sam nie wykonał. Dziś tekst uchodzi za ustalony właściwie w tym miejscu i tłumaczenie jego będzie brzmiało następująco: „Gdy usłyszał Władysław [Węgierski], że Bolesław przybywa, częścią się cieszy z [całej] duszy, częścią pozostaje miejsce gniewu [urazy]; cieszy się bowiem z przyjęcia brata i przyjaciela, lecz boleje nad tym, że brat [jego] Władysław [Herman] stał się [dlań] wrogiem".

A rozumienie Wojciechowskiego przyjmowane jest na ogół bez zastrzeżeń, mianowicie, że to Władysław Herman, podniósłszy bunt przeciw Bolesławowi Śmiałemu i wyganiając go z kraju, automatycznie stał się wrogiem Władysława Węgierskiego (też dlań ciotecznego brata), który tron zawdzięczał Bolesławowi Śmiałemu i był doń wiernie przywiązany, więc musiał Hermana odtąd traktować jako wroga.

Pokłosie tej całej długotrwałej, wieloletniej dyskusji to w gruncie rzeczy tylko ustalenie właściwego brzmienia tekstu i jego dosłownego rozumienia, ustalenie podstawy źródłowej, co powinno było dokonać się 100 lat wcześniej. Na tym tedy gruncie ustalonego nareszcie w definitywny sposób tekstu kroniki oparłem się też i ja w moim przedstawieniu rzeczy w podręczniku z 1925/1926 r. Uwzględniłem z wywodów prof. Wojciechowskiego wszystko to, co wydało się istotne dla sprawy i bezspornie udowodnione, odrzuciłem zaś to, co było domysłem, co prawda dość silnie uzasadnionym, ale nie udowodnionym jako fakt pewny, bo

chodziło o domysły drażniące, a nie narzucające się z koniecznością nieodpartą, mianowicie, że owa zdrada — „traditio” — polegała na porozumieniu czy współdziałaniu z Niemcami, czy też z Czechami. Wobec tego przedstawienie rzeczy przeze mnie w sposób jak najbardziej ostrożny, a z drugiej strony sumiennie uwzględniający bezsporne wyniki całej dyskusji, wyglądało tak w głównym zrebie: świetne pod względem politycznym panowanie Bolesława Śmiałego, które przywróciło Polsce majestat królewski i odbudowało jej potęgę państwową, zaznaczając silnie wpływy polskie w krajach sąsiednich (tj. na Rusi i na Węgrzech przede wszystkim), zakończyło się gwałtowną katastrofą. Przyczyny jej i przebieg można odtworzyć w znacznej mierze jedynie hipotetycznie, bo na podstawie jednego tylko źródła (tj. kroniki tzw. Galla). Jakkolwiek jest ono w tej sprawie wiarygodne, autor jego jednakże celowo uchylił się od jasnego wypowiedzenia prawdy, a to ze względu na wieloraką drażliwość tej sprawy. Bolesław Śmiały utracił tron królewski z powodu buntu, jaki przeciw niemu podniósł młodszy brat, Władysław Herman, któremu koronacja królewska Bolesława Śmiałego zamykała po prostu drogę do tronu, bo przesądzała następstwo na tron niepodzielnego królestwa na rzecz syna Bolesława Śmiałego, Mieszka Bolesławowicza. To pchnęło Władysława Hermana do buntu. Stronników znalazł wielu, choć trudno dociec, co ich przy nim skupiło. Pomoc z zewnątrz, zdaje się, nie była buntownikom potrzebna; wystarczała życzliwa neutralność. W szczególności porozumienie z czeskim Władysławem i z cesarzem Henrykiem IV, aczkolwiek w danej sytuacji możliwe, a nawet prawdopodobne, nie da się źródłowo udowodnić; polegało raczej na zapewnieniu sobie przez Władysława Hermana zgody na fakt dokonany niż na zjednaniu czynnej pomocy. W każdym razie po zwycięskim przewrocie przeszedł Władysław Herman tak politycznie, jak i kościelnie do obozu cesarskiego, antygregoriańskiego, podczas gdy cała działalność Bolesława Śmiałego polegała na jak najściślejszym współdziałaniu z papieżem Grzegorzem VII i była na wskroś antycesarska i antyniemiecka.

Chronologicznie zbiegł się z planowanym buntem juniora zatarg Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim Stanisławem. Związek rzeczowy, tj. przynależność i współdziałanie biskupa ze spiskowcami, mogą wydawać się prawdopodobne, pewnikiem jednak nie są; była to raczej sprawa odrębna, która przyspieszyła wybuch buntu i zasiłała obóz Władysława Hermana nowymi stronnikami. Przedmiot zatargu króla z biskupem nie jest znany konkretnie. Chodziło atoli o czyn, który przedstawiał się jako nieposłuszeństwo czy też wystąpienie przeciw królowi, formalnie więc został skwalifikowany jako zdrada. Być może, że król z wiernym sobie otoczeniem uważał biskupa za sprawcę buntu na ostatniej ruskiej wyprawie (1078-1079 r.); zarzut zdrady mógł zatem płynąć z subiektywnego podejrzenia i przeświadczenia Bolesława, które mogło nie odpowiadać faktycznemu stanowi rzeczy. Brak jakichkolwiek kryteriów do skontrolowania tych możliwości zmusza, by ograniczyć się do jedyne pewnego faktu, że mianowicie obciążony zarzutem zdrady biskup podległ sądowej karze obcięcia członków,

„obtruncatio membrorum”, typowej wówczas w całej chrześcijańskiej Europie karze za zdradę. Surowa ta kara, zastosowana przez pomazańca-króla do pomazańca biskupa, której wymierzaniu właśnie w stosunku do biskupów przeciwna była i praktyka prawna, i opinia społeczeństw całej Europy chrześcijańskiej, wyłączająca godność biskupią od wszelkiej odpowiedzialności fizycznej za przestępstwa, musiała i w Polsce wywołać znaczny ferment i oburzenie na gwałtowny postępek króla, powodując pogorszenie położenia Bolesława Śmiałego w kraju i ostateczny -wybuch buntu. Przebieg szczegółowy buntu jest nieznan. Domniemanym jego przywódcą był magnat małopolski Sieciech, późniejszy wszechwładny palatyn Władysława Hermana, który jemu właśnie tron zawdzięczał i na całe życie i rządy od niego się uzależnił. Bunt zaskoczył Bolesława Śmiałego nagle w Krakowie, tak że niemal bez towarzyszy, wśród ogólnie szerzącego się odstępstwa, uchodzić musiał z żoną i synem na Węgry do wiernego sobie króla Władysława, brata ciotecznego (1079 r.).

Dwie tu jeszcze kwestie zasługują na bliższe uwypuklenie:

1) Wyraziłem się o kronice Galia, że jest to jedyne, ale dla tej sprawy wiarygodne źródło. Na czym tedy zasadza się ta wiarygodność? Autor, „exul apud vos et pere-grinus”, [wygnaniec u was i wędrowiec] poznał sprawę w Polsce od naocznych świadków, bo o pisanych relacjach nic nie wspomina. Ale kto to byli ci świadkowie, jego informatorzy? O tym mówi otwarcie w przedmowie do księgi I swej kroniki, bo na nich po prostu zrzuca odpowiedzialność za to, co jako nie znający spraw obcokrajowiec napisał o dziejach Polski. Byli to ówczesni biskupi polscy z arcybiskupem Marcinem na czele oraz kanclerz książęcy Michał (również duchowny), którego wprost nazywa współtwórcą swej pracy. Zatem relacja oparta na możliwie najlepszych informacjach współczesnych.

2) Druga sprawa, ostrożnie przeze mnie wyrażona, to istota owej zdrady: „traditio”. Powiedziałem wyżej, że przedmiot zatargu nie jest nam konkretnie znany, że zarzut ten mógł się opierać na subiektywnym podejrzeniu króla czy jego otoczenia, że wreszcie istotę rzekomej „zdrady” mogło stanowić zwykłe nieposłuszeństwo, opór, wystąpienie przeciw władcy, nawet z najszlachetniejszych etycznie pobudek, ta więc etyczna strona czynu bynajmniej nie jest przesądzona; po prostu nie mamy do tego podstawy. Mogła to być sprawa czysto polityczna, która w ogóle aspektu moralnego nie posiada, ale przez stronę przeciwną mogła być skwalifikowana jako „traditio” wedle ówczesnych pojęć o stosunku poddanego do władcy. Zilustruję to przykładem ściśle współczesnym. Jeden z największych papieży, Grzegorz VII, w swej nieustraszonej walce z cesarzem Henrykiem IV o inwestyturę i cały stosunek Kościoła do państwa został w pewnym momencie (w r. 1074) przez synod biskupów niemieckich, wiernych cesarzowi, i przez cesarza Henryka IV ogłoszony jako „traditor regni”, zdrajca królestwa. Takim samym „zdrajcą” mógł być w oczach Bolesława Śmiałego i ówczesnych

biskupów polskich, jemu zawdzięczających swe godności, także Stanisław, i to mu na równi z Grzegorzem VII ujmij nie czyni. Trudno mi orzekać, czy moje rozumienie i przedstawienie sprawy zostało względnie zostanie przyjęte przez ogół. Ograniczę się tu do zacytowania dwóch przeciwnych sobie opinii':

Ks. prof. Jan Fijałek, jeden z najwybitniejszych naszych uczonych-historyków w szacie duchownej, w pracach swych bezwzględnie dochodzący prawdy — nawet w sprawach drażliwych dla Kościoła — w myśl zasady papieża Leona XIII, że „Ecclesia veritatem non veretur” — Kościół nie boi się prawdy, wypowiedział się publicznie na wyraźną zapytanie, że „gotów jest bez zastrzeżeń podpisać to, co ja napisałem o sprawie św. Stanisława”, czyli że zgadza się to jego poglądem w tym względzie.

Natomiast dr Kazimierz Krotoski, inicjator owej dyskusji w sprawie św. Stanisława z r. 1909, najbardziej nieubłagany wobec prof. Wojciechowskiego, który mu też w swej odpowiedzi pt. *Plemię Kadłubka* jedynie wyniosła pogardą i lekceważeniem mógł odpowiedzieć, otóż ten dr Krotoski zwoływał protestacyjne wiece rodzicielskie w Poznaniu i zdołał przeprowadzić decyzje tamtejszego Kuratorium w tym dachu, by nie używać w szkołach wypisów do nauki historii w szkołach średnich, gdzie ja plaśnie podałem urywek kroniki Galla Anonima w tłumaczeniu, opartym na omówionych wyżej emendacjach i na rozumieniu Wojciechowskiego. W fanatyzmie swoim, zaślepiony na wszystko, nie chciał pogodzić się z tym i dostrzec tego, co dla innych stało się jasne i bezsporne. Ale też dyskusja z nim nie ma już żadnych podstaw, żadnego wątku. Toteż tym więcej satysfakcji dało mi uznanie ze strony ks. prof. Fijałka, którego wysoki autorytet naukowy w cieniu pozostawia zaślepienie drą Krotoskiego.

Wracam teraz do cytowanych już prac Semkowicza i Gębarowicza.

Swoją pracę *Sprawa św. Stanisława w świetle nowego źródła ikonograficznego* zaczął prof. Semkowicz słowami, że na „skandynawskiej ziemi w zapadłej wiosce szwedzkiej znalazł się pomnik, który pozwala wznówić dyskusję nad rozgłosną; niegdyś, lecz od 20 lat przebrzmiałą i wyczerpaną — zdało się — sprawą św. Stanisława wyczerpaną i zamkniętą przede wszystkim dlatego, że nikt nie przypuszczał, iż może wyjść jeszcze na jaw nowe źródło, które zdoła na tę ciemną kwestię rzucić pewne światło i wy prowadzić ją poza szranki interpretacji znanych dotąd, tak lakonicznych, zagadkowych i sprzecznych wiadomości w najstarszych naszych tekstach kronikarskich" (tj. Galia Anonima i Kadłubka).

Zabytkiem tym jest chrzcielnica kamienna, pokryta płaskorzeźbami, dochowana we wsi Tryde na południowym cyplu Szwecji w prowincji zw. Skania (która należała dawniej do Danii), naprzeciw Rugii i ujścia Odry.

Roosval odniósł w swych pracach (ostatnia z 1918 r.) te płaskorzeźby do kultu św.

Stanisława, a czas powstania zabytku oznaczył na drugą połowę XII w. Byłoby to więc drugie po Gallu, a wcześniejsze od Kadłubka, źródło do sprawy św. Stanisława. Dlatego prof. Semkowicz poświęcił mu specjalną uwagę, bo szwedzkiego uczonego te sprawy bliżej nie zajmowały i nie znał ich należycie; nie znał literatury polskiej w tej sprawie.

Kamieniem węgielnym poglądu prof. Semkowicza jest data powstania chrzcielnicy, tj. druga połowa XII w. Kilkakrotnie to zaznacza z naciskiem, że „ten fakt nie ulega żadnej wątpliwości, uznany zgodnie przez dawniejszą i nowszą naukę szwedzką”, a w szczególności profesorów Jana Roosyala (1918) i Kanuta Tynella (1921). Zależnie więc od tej chronologicznej podstawy pogląd prof. Semkowicza albo się utrzyma, albo upadnie, i on sam uznał go za rozstrzygający dla swych dalszych wywodów.

Uważając tę datę za pewnik, prof. Semkowicz rozwinął następujący pogląd: sceny wyobrażone na chrzcielnicy odnoszą się do legendy o św. Stanisławie. Autor rozpatruje inne legendy średniowieczne, gdzie nachodzi się wskrzeszenie z grobu (św. Donat, św. Aja, św. Fridolin), i wykazuje, że te sceny do nich nie mogą się odnosić. I to możemy uważać za udowodnione. Następnie konfrontuje autor te sceny z legendą o św. Stanisławie wedle tzw. *Vita minor s Stanislai* (z datą 1230!) i stwierdza, że dwie sceny ściśle się zgadzają z tą legendą. Zaś trzecia — „sąd nad biskupem” — oczywiście nie mogła znaleźć się w ramach tej legendy, bo wówczas w przededniu niemal kanonizacji św. Stanisława dojrzała już inna koncepcja śmierci biskupa, uwydatniająca jaskrawiej zbrodnię króla i męczeństwo biskupa, mianowicie własnoręczne dokonanie zabójstwa: „ipse manus iniecit sacrilegas”. Ale wedle Galla odbył się sąd nad biskupem, a śmierć przez „obtruncatio membrorum” wykonana została na podstawie wyroku sądowego. Otóż ta właśnie scena sądu króla nad biskupem wyobrażona jest na chrzcielnicy w Tryde. Chrzcielnica pochodzi z drugiej połowy XII w., jak znowu z naciskiem przypomina Semkowicz, mogła więc zachować tradycję o śmierci Stanisława w czystej formie, zgodnej z przekazem Galla, nie skażonej jeszcze tendencją do przejawienia tego faktu, jaka występuje dopiero później, w początku XIII w., naprzód w kronice Kadłubka, a zaraz potem w owej *Vita minor*, a zatem już w fazie rozwoju kultu, który doprowadził wnet do kanonizacji. Orzekł wreszcie prof. Semkowicz, że ścisła interpretacja przekazu Galla o śmierci biskupa Stanisława znajduje w rzeźbie z Tryde zupełne potwierdzenie i wierne odzwierciedlenie.

Następnie zajmuje się prof. Semkowicz zagadnieniem, w jaki sposób i jaką drogą taka wersja tej sprawy dotarła tak wcześnie do Szwecji? I tu wyszły na jaw ciekawe związki dynastyczne Piastów z dynastiami skandynawskimi.

Córka Bolesława Krzywoustego Rychyza w r. 1129/1130 wyszła za mąż za Magnusa Nielsona, króla Danii (syn Kanut V), potem w r. 1135 za księcia nowogrodzkiego Włodzimierza (córka Zofia, wydana za Waldemara I, króla Danii), a po raz trzeci w 1140 roku za Swerkerę I,

króla Szwecji, zamordowanego w r. 1155. Z tym Swerkerem miała syna, którego nazwała Bolesławem, i to imię miał jeszcze jej wnuk, a syn tego Bolesława Swerkersona.

Na tle tych związków uprawdopodobnią autor, że tą drogą kult św. Stanisława, jako kult dynastyczny tej linii Piastów, idącej od Władysława Hermana, którego stronnikiem był św. Stanisław, przeszedł do Szwecji południowej w XII w. (postacie dookoła czary, przypuszczalnie członkowie dynastii, częściowo Piastowie). Dalej powstało zagadnienie, dlaczego ten kult nie szerzył się w XII w. w samej Polsce? Miał to być cichy, skromny kult dynastii oraz rodów Toporczyków i Turzynitów, wywodzących się w XIII— XV w. „de progenie s. Stanislai”. A inne rody były przeciwne: Awdańce, Gryfici, Rawicze, przeciwnicy Toporczyków. Ale czy możliwe jest przedstawienie św. Stanisława z atrybutami świętego w XII w., a więc na długo przed oficjalnym uznaniem przez Kościół? Obecnie przedstawię pokrótce rozprawę prof. M. Gębarowicza, historyka sztuki — specjalisty. W przedmowie zaznaczył on, że pracę prof. Semkowicza uważa za przyczynek do tego olbrzymiego problemu, któremu na imię „sprawa św. Stanisława, a który czeka jeszcze na swego historyka”, więc uważa ciągle jeszcze to zagadnienie za nie wyświetlone należycie i ostatecznie. Przyznaje, że bezpośrednim powodem jego wystąpienia jest studium prof. Semkowicza, a znaczenie jego upatruje w tym, że jego wyniki „w istocie. podważają silnie tezę Wojciechowskiego i grożą obaleniem rezultatów dotychczasowych badań”.

Przyznam się, że mnie ta ocena doniosłości pracy prof. Semkowicza mocno zdziwiła, bo ja nie widzę, w czym ona podważa pogląd Wojciechowskiego i w czym grozi obaleniem dotychczasowych wyników. Przypominam, że sam prof. Semkowicz w tym wyraźnie widział istotę swych wywodów i wyników, że „jednym słowem ścisła interpretacja przekazu Galia o zabójstwie biskupa Stanisława znajduje w rzeźbie (na chrzcielnicy z Tryde) zupełne potwierdzenie i wierne odzwierciedlenie”, a właśnie „tę ścisłą interpretację Galla” ustalił Wojciechowski, więc Semkowicz swoimi wynikami podpira jego tezę, a nie podważa jej bynajmniej, ani nie grozi obaleniem wyników opartych na tej ścisłej interpretacji przekazu Galia Anonima, więc tu zaszło chyba u Gębarowicza jakieś nieporozumienie, mylne ustosunkowanie wyników Semkowicza do Wojciechowskiego. Będę się więc raczej trzymał bezpośredniego stwierdzenia przez prof. Semkowicza, że on osobiście widzi w swych rezultatach badawczych podparcie i potwierdzenie tezy Wojciechowskiego. Bo istotnie, w szczególności jego interpretacja trzeciej sceny z płaskorzeźb chrzcielnicy, t j. sceny sądu króla nad biskupem, przy czym kat z toporem oznacza wyrok na „obtruncatio membrorum”, stoi w najzupełniejszej zgodzie z Wojciechowskiego interpretacją odnośnego ustępu u Galia Anonima.

W rozdziale I Gębarowicz poddaje druzgocącej krytyce metodę szwedzkiego uczonego Roosvala, użytą przezeń dla ustalenia chronologii chrzcielnicy w Tryde i licznych innych zabytków tego rodzaju na Gotlandii i w południowej Szwecji, i wykazuje, że ta typologiczna metoda może jedynie w grubych zarysach określać całymi stuleciami czas powstania zabytków, ale nie może mieć pretensji do wyznaczania dat ścisłych, bo to można jedynie osiągnąć metodą historyczną, dla każdego zabytku z osobna, indywidualnie. Przy tym wytknął Rooswalowi cały szereg dowolności oraz błędów w szczegółach. W rezultacie orzekł, że przydzielenie chrzcielnicy w Tryde określönemu ściśle rzeźbiarzowi (tzw. Anonimus Maiestatis) i odniesienie do lat 1160—1180 nie tylko nie jest udowodnione, ale wręcz jest niemożliwe do przyjęcia.

Stoję więc wobec faktu, gdzie dwóch specjalistów od historii sztuki odmiennie się zapatruje na czas powstania zabytku, i jestem dość bezradny wobec tego stanu rzeczy. Należałoby odczekać jakiś czas, by inni specjaliści wypowiedzieli się w tej materii, by dyskusja szersza lepiej tę rzecz wyświeciła. Nim się to stanie, należy się zapoznać ze szczegółową, już ściśle historyczną argumentacją Gębarowicza, bo tu sam łatwiej będę mógł się zorientować co do wagi i mocy dowodowej jego wywodów, skoro opierają się one nie na kryteriach estetycznych, lecz przede wszystkim na pisanych źródłach historycznych. Ale już w tym miejscu zwracam uwagę, że uległ tu zakwestionowaniu główny filar wywodów Semkowicza, bo — jak to poprzednio stwierdziłem — dla prof. Semkowicza punktem wyjścia i podstawą wywodów był pewnik, względnie przyjęty jako pewnik fakt, ustalony przez Roosvala, że chrzcielnica w Tryde pochodzi z drugiej połowy XII w. Ten pewnik znalazł się teraz pod pytańnika-mi, a nawet wręcz został zaprzeczony.

Jakież są szczegółowe dowody Gębarowicza? Zaczyna on od rozpatrzenia początków kultu św. Stanisława, bo zgodnie z prof. Semkowiczem i Roosvalem uważa, że płaskorzeźby na chrzcielnicy w Tryde istotnie odnoszą się do legendy o św. Stanisławie. Chodzi mu więc o stwierdzenie, w jakim czasie legenda ta się uformowała i w swój obręb wciągnęła ten wątek, który posłużył do odtworzenia plastycznego znanych nam już scen na owej chrzcielnicy. Bo zrozumiałe, że jeśli wątek o wskrzeszeniu Piotra z grobu jest pomysłem z połowy XIII w., to nie mógł być tematem *rzeźby* z połowy w. Otóż Gębarowicz stwierdza, że do końca XII w., tj. do kroniki Kadłubka, niema żadnych śladów kultu św. Stanisława. Dopiero wypadki wewnętrzne w Polsce ww. powołały do życia legendę z całą jejawartością ideową, która jest wynikiem dążności i pragnień XIII w. W szczególności wykazuje, że legenda o wskrzeszeniu Piotra na świadka w procesie o wieś Piotrowin pojawia się dopiero w owej *Vita minor s. Stanislai*, która jednak nie jest zabytkiem z r.

1230, jak dawniej powszechnie u nas przyjmowano, lecz powstała właśnie po rozpoczęciu kanonizacji po r. 1247. Fakt, że nie znał jej jeszcze Kadłubek, że nie wspomina też o niej bulla kanonizacyjna, a — co najważniejsze — nie znajduje się ona w zachowanym tzw. rotulusie, zawierającym *Miraculas. Stanislai*, cały rejestr cudów przypisywanych wstawiennictwu św. Stanisława, uważa za dowód, że w tym czasie jeszcze legenda o Piotrze i jego wskrzeszeniu nie istniała. Wykazuje, że wieś Piotrowin należała w połowie XIII w. do księcia, że tam była ważna komora celna przy ważnym handlowo przewozie przez Wisłę. A kościół katedralny krakowski, który posiadał w tej okolicy znaczne dobra, zaczął dążyć do zdobycia i tej miejscowości dla siebie, mając do zwalczania opór księcia. Właśnie by tej aspiracji dopomóc, ucieczono się do legendy o cudzie, dzięki któremu kościół już rzekomo dawniej miał sobie nadaną i sądownie przysądzoną wieś Piotrowin. Jeszcze w czasie kanonizacji w r. 1252 książę, który ją popierał, Bolesław Wstydlivy, nadał klasztorowi łysogórskiemu cło w Piotr o winie, zatrzymując sobie własność samej wsi, w której kościół był też książęcej, a nie rycerskiej czy biskupiej fundacji. Dopiero Łokietek w niewiadomym bliżej momencie swych najwcześniejszych rządów nadał katedrze krakowskiej Piotr owiń, najpierw ustnie i faktycznie, a dopiero w r. 1310 wystawił dokument nadawczy i „ob devocionem dei et gloriosi martiris s. Stanislai pontificis et patroni” wieś Piotrowin, która dotąd „ad nos et ius ducatus nostri cum plenitudine domini pertinebat”, nadał wraz z patronatem kościoła miejscowego „ad offertorium beato Stanislao”, a więc w tym momencie legenda o Piotrze dała realny wynik: przyznanie prawa własności do ziemi, do której Kościół — z racji gospodarczych — miał aspiracje, nie dające się żadnym prawnym środkiem, żadnym dokumentem poprzeć. Razem stanowi to dowód, że legenda o wskrzeszeniu Piotra, której celem było uzyskanie wsi Piotrowin od księcia, a więc legenda stworzona dla praktycznych intencji, aktualnych w drugiej połowie XIII w., "nie mogła być zobrazowana w odległej Szwecji w XII w. przez autora chrzcielnicy w Tryde, lecz dopiero po jej upowszechnieniu się drogą propagowanego po kanonizacji kultu św. Stanisława.

Równocześnie udowadnia prof. Gębarowicz na szerokim tle porównawczym, że wyobrażenie wskrzeszenia nieboszczyka w postaci szkieletu z grobu nie jest znane sztuce plastycznej chrześcijańskiej w XII w., lecz pojawia się w ogóle dopiero od połowy XIII w., po raz pierwszy we Francji w legendzie „o trzech umarłych i o trzech żywych”, która następnie znajdowała ikonograficzne zastosowanie w miniaturach, obrazach i rzeźbach. Poprzednio artyści pojmowali zmartwychwstałych w ogóle zgodnie z Pismem Św. jako zmartwychwstałych w danym ciele i przedstawiali ich tak jak żywych. Wprowadzenie

wyobrażenia szkieletu najwcześniej odnieść można do drugiej połowy XIII w. Ciekawe jest to, że autor *Vita minor*, idąc za dawnym pojmowaniem nieboszczyków, wyraźnie przedstawia wskrzeszonego Piotra jako człowieka z krwią i ciałem, a dopiero szwedzki artysta, odstępując od tej koncepcji, daje od siebie jako nowość koncepcję kościotrupa. I ten więc argument, wzięty już z historii sztuki, przemawia przeciw odnoszeniu rzeźb z Tryde do XII w. Razem z innymi argumentami, które tu pomijam, udowadnia też Gębarowicz, że ta chrzcielnica jest wynikiem artystycznych wpływów francuskich i jest zabytkiem spóźnionego na północy stylu romańskiego. Ważne są jeszcze różnice w interpretacji poszczególnych scen: Gębarowicz scenę drugą pojmuje jako scenę, w której król dokonuje inwestytury pod wpływem cudu wskrzeszenia i podaje biskupowi pastorał, lenny symbol godności biskupiej. W związku z tym zwrócił uwagę, że na scenie pierwszej osoba wskrzeszająca nieboszczyka nie ma jeszcze mitry biskupiej na głowie, lecz okrągłą, przylegającą do głowy czapkę, podobną jak dwie inne postacie świadków cudu wskrzeszenia. A dopiero po przyprowadzeniu wskrzeszonego przed króla zyskuje godność biskupią, jest już w mitrze i dostaje pastorał. Jest tu najwidoczniej jakaś zmiana w treści legendy, dokonana przez rzeźbiarza; celem cudu nie jest bowiem odzyskanie wsi Piotrowin, lecz uzyskanie inwestytury. Przyznać trzeba, że to robi wrażenie wprost innej jakiejś legendy, nie o św. Stanisławie.

Ale prof. Gębarowicz wykazuje, że w wiekach średnich często zachodziły takie adaptacje legend, przystosowania do pewnych konkretnych praktycznych celów. I zbadawszy dokładnie stosunki Kościoła do państwa w Szwecji i Danii w drugiej połowie XIII w. wskazuje na postać arcybiskupa lundzkiego Jakuba Erlandsena (1253—1274), który przez 17 lat prowadził z królami duńskimi uporczywą walkę o *libertas ecclesiae*, a w szczególności o własną inwestyturę. On też miał sposobność zapoznać się z legendą o św. Stanisławie, bo kilkakrotnie dłuższy czas bawił w Polsce, właśnie w okresie kanonizacji św. Stanisława. W czasie kanonizacji był w Asyżu (1253), gdzie była uroczyście ogłoszona. W r. 1267 z legatem Wilhelmem bawił w Polsce i brał udział w synodzie wrocławskim, a parę miesięcy spędził w Krakowie, gdzie legat Wilhelm nadawał przywileje odpustowe dla pielgrzymów nawiedzających grób św. Stanisława. Zapoznał się więc u nas z kultem i legendą o św. Stanisławie, a porównując własne losy, tułaczkę na obczyźnie z powodu gwałtowności przeciwnego sobie króla, mógł zainspirować następnie ową adaptację legendy do osobistej swojej sytuacji w walce z królem, by analogią losów świętego podzielać we własnej sprawie.

Są to możliwości dość subtelnie rozsnute i uzasadnione przez Gębarowicza, może nie całkiem przekonywające, ale nie więcej miały mocy dowodowej domysły prof. Semkowicza, że kult ten do Szwecji przенiosła Rycheza, córka Bolesława Krzywoustego, jako kult dynastyczny. Gębarowicz wprost stara się zbić prawdopodobieństwo takiego „cichego” dynastycznego kultu, również ów rodowy charakter kultu u Toporczyków i Turzynitów. Wszystko to są cienie możliwości, zresztą dość obojętne dla głównej sprawy, t j. dla czasu pochodzenia zabytku w Tryde. A tu, jak widać z tego, co powiedziałem, mamy do wyboru dwie tezy: Semkowicza i Gębarowicza (druga połowa XII i druga połowa XIII w., sto lat różnicy). Za czym się więc należy opowiedzieć? Nie chcę narzucać zdania, owszem, uznaję, że kwestia jest raczej jeszcze otwarta, wymaga dyskusji i pogłębienia. Ale rebus sic stantibus, na gruncie ujawnionych dotąd argumentów, wydaje mi się stanowisko Gębarowicza mocniejsze, chrzcielnicę w Tryde trzeba raczej uważać za dzieło XIII w., i to drugiej jego połowy.

Konkluzję podał sam Gębarowicz przeciw twierdzeniu prof. Semkowicza, mianowicie, że „pod względem historycznym zabytek ten nie jest wprawdzie dokumentem ani źródłem do sprawy św. Stanisława, lecz ze wszech miar zasługującym na uwagę i interesującym, bodajże najstarszym pomnikiem jego kultu. Legenda św. Stanisława w tej formie, w jakiej znalazła się na ścianach chrzcielnicy w Tryde, jest tworem połowy XIII w., skodyfikowanym w czasie trwania procesu kanonizacyjnego”.

Zgadzać się w zasadzie z tym stanowiskiem i z argumentacją Gębarowicza, w jednym ważnym punkcie przyjmuję jednak wywody prof. Semkowicza, mianowicie co się tyczy owej trzeciej sceny sądu króla nad biskupem. Gębarowicz uznał, że to schemat symbolizujący ogólnie męczeństwo, a nie należy ściśle do wersji o św. Stanisławie. Prof. Semkowicz, przeciwnie, widzi w tym zgodne z Gallem poświadczenie „obtruncatio membrorum” z wyroku królewskiego sądu. Umieszczenie tej sceny razem z tamtymi dwoma łączy się wyraźnie w całość, i nie można jednej sceny dowolnie wyłączać, jako tu rzeczowo nie należącej. A w takim razie dojdziemy do spostrzeżenia, że równocześnie obok legendy oficjalnej głoszonej w związku z kanonizacją, współżyła i znajdowała wyraz w ikonografii wersja druga, oparta na jedynym autentycznym źródle, t j. Gallu, o śmierci z wyroku sądowego, jak gdyby ze sobą nie kolidowały. Co więcej — to trwa dalej w XIV w. i obraz z XIV w. w Asyżu przedstawia również scenę śmierci św. Stanisława jako śmierci nie z ręki króla, lecz z rąk pachołków katowskich, rąbiących biskupa na sztuki. Analizując krytycznie obie tezy naszych uczonych, przyznałem wyższość tezie Gębarowicza i uznałem za nim ten zabytek za twór raczej pokanonizacyjny z końca XIII w., za

czyni przemawiają silne argumenty historyczno-artystyczne, ale dla sceny sądu nad królem pragnąłem zatrzymać, znowuż za prof. Semkowiczem, jej walor jako ikonograficznego dowodu, że obok legendy oficjalnej, stworzonej przez Kadłubka pod koniec XII w., o tym, że król Bolesław Śmiały osobiście dokonał zabójstwa biskupa Stanisława, żyła w świadomości powszechnej pamięć o faktycznym przebiegu sprawy, t.j. o wyroku sądowym na „obtruncatio membrorum”, wykonanym oczywiście nie przez króla, lecz przez katów, a obraz z XIV w. w Asyżu jest drugim potwierdzeniem tej tezy. Ale o prof. Gębarowiczu będzie można powiedzieć, że co jedną ręką odebrał, to drugą przyczynił, bo w omawianej pracy wprowadził odebrał chrzcielnicę w Tryde charakter i moc dowodową źródła, ale w drugiej pracy. odzyskał dla sprawy św. Stanisława istotnie nowe, choć dawno już drukowane, dotąd jednak nie użytkowane źródło historyczne pisane, mianowicie bullę czy też raczej list papieża Paschalisa II.

Mam na myśli pracę, którą już przedtem pokrótce oceniłem w przeglądzie literatury, pt. *Polska, Węgry czy Sycylia* odbiorcą listu Paschalisa II J.—L. nr 6570. Tej pracy z kolei poświęcę moją uwagę.

Pobudką bezpośrednią do wystąpienia z tym studium była dla prof. Gębarowicza ta okoliczność, że właśnie w r. 1937 ukazało się w wydawnictwach PAU wydane przez Zofię Kozłowską-Budkową, a pod kierunkiem Wł. Semkowicza, *Repertorium polskich dokumentów doby piastowskiej* (z. 1, do końca XII w.), gdzie ten list papieża Paschalisa II został kategorycznie osądzony jako nie należący do polskich źródeł historycznych. Myślą przewodnią rozprawy Gębarowicza jest więc przede wszystkim udowodnienie, że jest to wyrok przedwczesny, a mylny, bo ten list tylko i wyłącznie do Polski może się odnosić i musi być uznany za źródło do dziejów polskich. W rozdziale I rozpatruje Gębarowicz formy przekazów, w których zachował się ten list. Otóż ten dość obszerny zabytek pisemny zawiera obok treści ściśle indywidualnej, dotyczącej konkretnych spraw i ludzi dość obfite wywody ogólne, dotyczące prawno-organizacyjnych spraw kościelnych. To też interesował od najdawniejszych czasów historyków z jednej strony, a prawników-kanonistów z drugiej strony. Zachował się z tego powodu w nader licznych odpisach, które podzielić można, i należy, na dwie kategorie: rękopisy historiograficzne i zbiory kanonistyczne. Celem dochodzeń Gębarowicza było wysledzić filiację tych odpisów, sporządzonych w XIII i XIV w., i wykazać, z jakiego źródła czerpią, czyli jaki był pierwotny tekst i brzmienie samego listu. Na uwagę zasługuje wysoce pouczający sposób metodycznego operowania kopiami w dochodzeniu ich pierwowзору.

Odpisy różnią się poważnie między sobą; jedne są krótsze, inne dłuższe, bo jedni przepisywali pełny tekst pierwowzoru, a inni pomijali pewne — z ich punktu widzenia drugorzędne — konkretne szczegóły, ograniczając się do ustępów ogólnych. Całe zaś dochodzenie uzasadnione jest tym, że ów pierwotny tekst w oryginale nie istnieje i różne wydawnictwa drukowane, opierając się na odmiennych przekazach rękopiśmiennych, podały do użytku naukowego teksty różniące się znacznie między sobą. Najdonioślejsza zaś różnica, która w ogóle była powodem powstania całego problemu naukowego, to intytulacja: do kogo ten list był zaadresowany, czy do arcybiskupa polskiego, czy do jakiegoś innego: węgierskiego, dalmatyńskiego, sycylijskiego, czy wreszcie kolońskiego — razem w druku znalazło się pięć różnych tekstów z różną intytulacją. Należało więc wyjaśnić, jak powstały te różnice i jakie było pierwotne brzmienie oryginału, który się do naszych czasów nie zachował.

To zadanie rozwiązał Gębarowicz po mistrzowsku, z ogromnym co prawda nakładem pracy heurystycznej, ale równocześnie z ogromnym talentem i wzorową metodą badania. Wychodząc od dzisiejszych druków, cofał się wstecz i śledził, skąd poszczególne wydawnictwa zaczerpnęły swój tekst, a następnie, dotarłszy do tych źródeł rękopiśmiennych, na których oparty się druk, śledził w dalszym ciągu, skąd te rękopisy zaczerpnęły swoje teksty, usiłując w tym cofaniu się dojść do pierwotnego źródła i ustalić, jakie brzmienie miał list Paschalisa II w tym najwcześniejszym źródle, bo tylko ono może być dla nas dzisiaj miarodajne, jako jedyna autentyczna podstawa do rozbioru treści. Wynik całej tej mozolnej analizy i zestawień jest następujący: Pierwotny tekst, „oryginał” — to regesta papieża Paschalisa II, tj. księgi z lat 1099—1118, w których rejestrowano, czyli zapisywano, pełny tekst każdego aktu, wychodzącego z kancelarii papieskiej, w tym brzmieniu, które papież względnie jego kancelaria ustaliła jako obowiązujące na zewnątrz. Wydawana na zewnątrz bulla papieska, czyli list, była już autentycznym, odpowiednio uwierzytelnionym odpisem z tego regestu. Zaopatrzony w bullę ołowianą i podpisy ten oryginał wędrował do odbiorcy, jako dlań przeznaczony. Otóż ten list Paschalisa przeznaczony dla odbiorcy zaginął; dziś już nie istnieje. W kancelarii papieskiej pozostały regesty, ale i one też już nie istnieją. Jednakże przed r. 1165 zużytkował je niejaki Boso, Anglik z pochodzenia, urzędnik kancelarii papieskiej Eugeniusza III (1145—1153), następnie camerarius, czyli szef całej administracji papieskiej za papieża Hadriana IV (1154—1159); umarł za pontyfikatu Aleksandra III w r. 1178. Otóż on napisał między innymi dzieło *Gesta pontificum Romanorum* — dzieje papieży dawniejszych aż do współczesnych sobie, do Aleksandra III. Jako historyk papieży posłużył się ich regestami i właśnie

w przedstawieniu dziejów papieża Paschalisa II zaczerpnął stamtąd cały szereg dokumentów z lat 1104—1112, a wśród nich list bez daty, zatytułowany: „Item Poloniensi archiepiscopo”, przy czym dwukrotnie po wtórzył tę intytulację, bo i w nagłówku, i w adresie listu. W XIV w. kardynał Mikołaj Roselli de Aragonia pisał dalszy ciąg życiorysów papieskich i z pracy Bosona przepisał też interesujący nas list z nagłówkiem i intytulacją „Poloniensi archiepiscopo”. Z niego następnie korzystali wydawcy drukowanych żywotów papieskich: Baronius, Muratori i inni, i wszyscy oni zachowali ten adres bez zmiany. To są odpisy grupy pierwszej, historiograficznej. Inaczej nieco przedstawia się druga, znacznie liczniejsza grupa odpisów kanonistycznych. Najstarszy z nich, tzw. *Colectio Bambergensis*, sporządzony w latach 1181—1185, wśród innych dekretów, buli papieskich, uchwał soborowych itp. zamieścił też i nasz list pt. Paschalis Polonor. archiepiscopo, zmienił więc tylko „Poloniensi” na „Polonorum”, co istoty rzeczy nie zmienia ani nie narusza. Tekst swój zaczerpnął on albo bezpośrednio z regestów papieskich, albo z życiorysów Bosona, co się nie da rozstrzygnąć. Zresztą to obojętne, bo istotne jest, że oba najstarsze, z XII w. pochodzące odpisy listu, tak grupy historiograficznej, jak i kanonistycznej, zawierają adres arcybiskupa Polski. Dopiero dalsze odpisy zbiorów kanonistycznych, czerpiące z tego zbioru *Collectio Bambergensis*, przepisywały albo uważnie i trafnie „Poloniorum” lub „Poloniensi archiepiscopo”. albo mniej uważni przekreślali na „Poleviensi”, „Polemensi”, bo im w gruncie rzeczy obojętna była osobistość adresata, im chodziło o treść rozstrzygnięcia papieskiego, o meritum bulli, listu czy dekretu, a bez znaczenia było to, do kogo personalnie dane rozstrzygnięcie było wysłane. Toteż kopista z okolic nadreńskich łatwo zamienił „Poloniensi” na „Coloniensi”; Kolonia wydała mu się bliższa i właściwsza. Inny znów „Polonor.” przekreślił bezmyślnie na „Palmono archiepiscopo”, jakby to było imię własne. Ale kopiści włoscy, w szczególności na Sycylii, przeobrazili niezrozumiale dla nich „Palmono” na „Palerm.” lub „Palarni.”, łącząc to ze swoim arcybiskupstwem w Palermo; nadto powstały przekreślenia zupełnie bezmyślne, nie odpowiadające żadnemu arcybiskupstwu, jak „Padromon. archiepiscopo” lub „Colm.”, tak jak i owo „Poleviensi”, „Polemensi”, wreszcie zupełnie dowolne: „Toletano”. Ale w żadnym z tych przekreśleń nie ma ani Splitu-Spalato, ani Kalocsy, tj. arcybiskupstw węgierskich, względnie dalmatyńskich, do których dopiero w najnowszych czasach zupełnie dowolnie uczeni węgierscy odnieśli ten list, ponieważ w nim jest pewna wzmianka o księciu węgierskim.

Jednym słowem: okazało się, że najstarsze przekazy, tak historyczne, jak kanoniczne, oparte na oryginalnych regestach lub na dziele Bosona, będącym najstarszą kopią z regestów, zachowały wszystkie (razem ich jest 8) brzmienie intytulacji „Poloniensi

(Polonorum) archiepiscopo", które więc jedynie uważać można za autentyczne. Wszystkie przekreślenia — wyłącznie zawarte w odpisach kanonistów — powstały później w XIII i XIV w.

W osobnym rozdziale rozpatrzył Gębarowicz te miejsca z tekstu listu, które u niektórych polskich, a także i obcych autorów budziły wątpliwości, jako rzekomo nieodpowiednie w piśmie skierowanym do Polski. Najważniejsze z nich to, że w trzech ustępach listu władca Polski określony został jako „rex”, a jego państwo jako „regnum”: „regem et regni maiores”, „itaque censuerunt rex et magnates”, „nutu -regio”, a tymczasem od Bolesława Śmiałego nie było w Polsce królów, bo tak Władysław Herman, jak i jego synowie nosili tytuł tylko książęcy. Gębarowicz wykazał, że w bullach i listach Paschalisa II często wyraz „rex” używany bywał w ogólnym znaczeniu „władca”, „monarcha”, w stosunku do władców, którzy królami nie byli, że więc taka była praktyka kancelaryjna. Ale ważniejszy jest argument, że list papieski powtórzył tu po prostu określenia i wyrażenia zastosowane w piśmie polskiego arcybiskupa, wszak wyraźnie mówi, powtarzając stale praktykowanym zwyczajem tekst pisma, na które daje odpowiedź, „significatis frater charissime, regem et regni maiores admiratione permotos”, a więc to arcybiskup Marcin w swoim piśmie użył tych określeń. A w Polsce w łacinie ówczesnej nie przywiązywano ścisłej wagi do tych określeń; np. współczesna wypadkom kronika Galia Anonima stale określa Polskę jako „regnum” (ale w znaczeniu „państwo”) i jej władców jako „reges” (też w ogólnym znaczeniu „władcy”). Zatem te trzy określenia o „rex” i „regnum” w liście Paschalisa II nie mogą przemawiać przeciw faktowi, że on odnosi się do Polski. Słusznie więc zakonkludował prof. Gębarowicz, że wszelkie wątpliwości co do brzmienia nazwy arcybiskupstwa, do którego ten list Paschalisa II był skierowany, są pozbawione jakichkolwiek podstaw w formie samego paleograficznego przekazu, bo ten w pierwotnym i w najstarszych odpisach jest zgodny, że to polski arcybiskup. Wątpliwości te powstały później i opierały się na treści, gdy wydało się możliwe, że treść odnosi się do Węgier lub też do Sycylii czy Kolonii, a nawet Anglii. Otóż prof. Gębarowicz prześledził całą odnośną literaturę krytyczną włosko-sycylijską i węgierską i wykazał całą nicość tych domysłów, całą ich dowolność lub przypadkowość. Ale to pomijam, bo to mnie bliżej nie obchodzi, stwierdzam jedynie, że te wywody są gruntowne i zupełnie przekonujące we wszystkich szczegółach, np. że arcybiskupstwo węgierskie w Kalocsy powstało w r. 1159, więc za Paschalisa II nie było żadnego arcybiskupstwa kalocskiego, itp. itp. W tej krytyce literatury osądził też prof. Gębarowicz bardzo surowo i wydane przez PAU owo *Repertorium dokumentów polskich*, że zbyt nie metodycznie wyłączyło ten dokument z dziejów Polski, odstępując go arcybiskupstwu w Splicie lub Ostrzyhomiu, bagatelizując przesłanki ściśle paleograficzne w ustaleniu właściwego brzmienia adresu listu. Ale i to pomnę, przechodząc do szczegółów dla nas ważniejszych rzeczowo.

Prof. Gębarowicz mianowicie ustalił ostatecznie właściwe brzmienie pełnego tekstu listu Paschalisa, które w różnych wydawnictwach uległo różnym przekręceniom, a zwłaszcza skróceniom (u kanonistów), i obecnie będzie nas ten właśnie tekst obowiązywać. Zwracam uwagę, że tekst drukowany w *Kodeksie dyplomatycznym Wielkopolski* (t. I, nr 5, 1877 r.) ma w nagłówku dowolnie wstawione imię arcybiskupa gnieźnieńskiego Marcina, które w tekście oryginalnym było opuszczone, jest to więc uzupełnienie wydawcy. Co prawda imię to uzupełniono trafnie, bo istotnie do arcybiskupa Marcina ten list jedynie może być odniesiony. Arcybiskup Marcin rządził w latach 1092-1118. List nasz nie ma daty, ale prof. Gębarowicz dość trafnie wykazał, że pochodzić on może jedynie z lat 1099-1118, tj. z czasów rządów Paschalisa, które pokrywają się z rządami arcybiskupa Marcina; a że w liście jest mowa o arcybiskupstwie w Danii (w Lund), które powstało 1104 r., więc te ramy chronologiczne zacieśniają się do lat 1104-1118. A dalej jeszcze bardziej zacieśnia Gębarowicz tę chronologię do lat 1112-1115, najprawdopodobniej do około r. 1115.

Ostatecznie kwestia daty jest ważna dla dziejów XII w., dla tych spraw, które bezpośrednio wywołały ten list, a więc stosunek Polski do papieżstwa w początku XII w., nam zaś nie chodzi obecnie o to, lecz o „sprawę św. Stanisława”, o której w tym liście jest tylko wtrącona wiadomość jako argument w tym przedmiocie, w którym papież zwraca się do arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Obecnie więc przytoczę treść tego listu na zasadzie ustalonego przez Gębarowicza tekstu. Najpierw wstępne wiadomości:

List Paschalisa II nie jest bowiem pierwszym aktem w tej sprawie, nie wynika z bezpośredniej inicjatywy papieża, lecz jest już odpowiedzią papieża na pismo arcybiskupa gnieźnieńskiego Marcina. Sprawę w ten sposób można odtworzyć: papież już poprzednio przesłał arcybiskupowi polskiemu tzw. paliusz (strój liturgiczny właściwy arcybiskupom) przez specjalnych wysłanników²², żądając, by arcybiskup złożył według przedłożonego mu na piśmie brzmienia przysięgę wierności i posłuszeństwa papieżowi i wytrwania w jedności z Kościołem rzymskim. Arcybiskup polski w tym czasie był jeszcze nominalnym księciem; poczuł kolizję, nie był pewien, czy mu wolno, czy mu wypada taką przysięgę obediencyjną składać na ręce posłów papieskich, skoro składał już księciu przysięgę wierności. Zwrócił się z tym po prostu do swojego władcy i do rady dostojników państwowych, ci zaś zdumieli się, że papież żąda takiej przysięgi, i zapadła decyzja, by jej nie składać. Otóż tę zbiorową decyzję przesłał arcybiskup Marcin papieżowi do wiadomości, uzasadniając swą odmowę złożenia żądanej przysięgi powołaniem się na władcę i radę dostojników. I na to właśnie odpowiada Paschalis II w swym liście. Wyjaśnia naszemu arcybiskupowi, że w paliuszu udziela papież arcybiskupom symbolicznie „plenitudinem pontificalis officii”, bo „iuxta Sedis apos-tolice et totius Europę consuetudinem ante acceptum palium metropolitanis minime licet aut episcopos consecrare, aut synodum celebrare”.

I dalej w długim wywodzie, z cytataми z Pisma Św. etc., uzasadnia papież swe żądanie przysięgi. Wreszcie powiada, że do tego żądania pobudza go zło — „malum”, jakie się w stosunki kościelne wkradło: „Czyż nie jest złem — odstępować od jedności Kościoła i sprzeciwiać się obediencji papieżowi należnej? Czyż nie jest złem wykraczać przeciw statutom świętych kanonów? A iluż tak czyniło nawet po złożeniu przysięgi! Czyż to nie twój poprzednik bez wiedzy rzymskiego papieża skazał sądownie biskupa?” („Nonne tuus predecessor preter Romani pontificis conscienciam dampnavit episcopum?”). To jest właśnie ten ustęp, który odnosi się do sprawy św. Stanisława, a którym zajmę się szczegółowo za chwilę, gdy omówię najpierw całość listu papieskiego. Podaje on w dalszym ciągu, co następuje: „Jakimiż to kanonami i przez które osoby miałyby to być dozwolone? A cóż [dopiero] mam powiedzieć o przenosinach biskupów, które u was [w Polsce] nie pod powagą papieską się dokonują, lecz na skinienie władcy” [króla, „nutu regio”]. I właśnie dla uniknięcia takiego i temu podobnego zła wymagana jest tego rodzaju przysięga (obediencyjna). Następuje argumentacja z powołaniem się na św. Jakuba apostoła i na św. Augustyna, że nie należy, używać, zbyt często przysięgi, tylko wtedy, gdy zachodzi konieczność. „I to właśnie [wyżej opisane] zło i ta konieczność nas zmusza, by żądać przysięgi wierności, posłuszeństwa i jedności („iuramentum pro fide, pro obediencia, pro unitate”). Dalej uzasadnia papież prymat papieski w Kościele jako „arcybiskupa starożytnego Rzymu” („antique Rome reverentissimo archiepiscopo”).

Następnie wraca papież do stanowiska władcy polskiego (tj. Bolesława Krzywoustego) i rady dostojników („magnates”) w tych słowach: „A więc władca i dostojnicy orzekli, iż masz odmówić tej przysięgi! Czyż wy sobie nie zdajecie sprawy z orzeczenia Ewangelii? Czyż nie dostrzegacie szczególniejszej godności naszego prymatu [w Kościele]? Czyż w wasze dusze nie zapadł ów rozkaz Boży, że «nie jest uczeń ponad mistrza»? Czyż my domagamy się tego [tj. tej przysięgi] z dbałości o własną korzyść, a nie dla utwierdzenia jedności katolickiej?!” Po czym znamienne, pełne goryczy zdanie, ale też pełne świadomości i niewzruszonej pewności, że słuszność jest po jego stronie: „Mogą lekceważyć stolicę apostolską, mogą przeciw nam występować [dosłownie: calcaneum elevare — podnieść kopyto — wierzgać] ale danego od Boga przywileju ani obalić, ani odebrać nie mogą!, bo on opiera się na tym, co powiedziane zostało Piotrowi: «Tyś jest Piotr [opoka] i na tej opoce wybuduję Kościół mój i tobie dam klucze królestwa niebieskiego»”. A dalej konkluzja: „Gdy więc od stolicy apostolskiej żądasz oznaki swej godności (tj. paliusza arcybiskupiego), który jedynie od relikwii św. Piotra jest brany, słuszne jest, byś też stolicy apostolskiej złożył oznaki należnej podległości (signa debite subiectionis), które będą świadczyły, że czujesz się związany ze św. Piotrem (tamquam membra de membro) i chcesz zachować jedność z głową katolickiego Kościoła. Poprzednicy nasi zachowali w tym względzie takie umiarkowanie, że nic tu ani krzywdzącego, ani trudnego nie ma w tym, co winno obowiązywać wszystkich

biskupów, którzy postanowili pozostać w jedności i posłuszeństwie dla książąt apostołów, śś. Piotra i Pawła. Czyż nie dalej poza wami mieszkają Sasi i Duńczycy? A przecież ich metropolici i tę przysięgę składają i posłów (legatów) stolicy apostołowskiej przyjmują z uszanowaniem i czcią i w ich czynnościach ich wspomagają, a Rzym (apostolorum limina) za pośrednictwem posłów nie tylko co trzy lata, lecz co roku nawiedzają. Przeto, bracie najdroższy, przestrzegam Cię w Panu [?], by przez Ciebie nie powstała okazja — nie daj Boże — ubytku w kościołach i odstępstwa". Tak kończy się list. Sprawa aktualna była około r. 1115: papież dążył do takiego uregulowania stosunku swego do Polski, by — nie narzucając tu jeszcze nowych zasad co do inwestytury biskupów — związać jednakże arcybiskupa polskiego, choć piastującego swą godność na podstawie nominacji monarszej i inwestytury świeckiej, przysięgą obediencyjną z sobą. Pismo to jest niezmiernie cennym źródłem do dziejów stosunku Polski do papieżstwa w początkach XII w. i zasługuje na specjalne opracowanie; zawiera sporo materiału nowego i świeżego, uzupełnia znakomicie to, cośmy już z innych źródeł wiedzieli; nasuwa się np. samo przez się porównanie z podobnym listem papieża Grzegorza VII do Bolesława Śmiałego, gdzie podobne zagadnienia kościelno-polityczne też zostały poruszone. Ale poprzestanę na tym ogólnym omówieniu treści listu, nie wchodząc bliżej w te sprawy, a wracam obecnie do tego jednego zdania, które mnie tu bezpośrednio najbliższej obchodzi, bo dotyczy sprawy św. Stanisława. Ta wzmianka, która dotyczy sprawy św. Stanisława, została w liście użyta jako argument zaczerpnięty z faktów przeszłości, na dowód, że przysięga wierności metropolitów na rzecz papieża jest niezbędnie potrzebna, by utrzymać jedność kościelną i solidarność stanowiska w sprawach ogólniejszych Kościoła. Papież boleje nad tym, że znaleźli się i tacy, którzy złożyli przysięgę obediencyjną na wierność i posłuszeństwo papieżowi, a potem dopuścili się jej złamania i tu właśnie za tego rodzaju czyn piętnuje poprzednika arcybiskupa Marcina, który przy przyjęciu paliusza od papieża złożył Grzegorzowi VII przysięgę obediencyjną, ale następnie złamał ją przez to, iż „bez wiedzy” papieża rzymskiego skazał biskupa: „predecessor tuus. preter Romani pontificis conscienciam dampnavit episcopum”.

Poprzednik Marcina to arcybiskup z czasów Bolesława Śmiałego i pierwszych lat Władysława Hermana — Henryk, czy też Bogumił, kwestia niestety niejasna mimo dochodzeń Tadeusza Wojciechowskiego. Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich z XI w. nie istnieje i osoby ich są nam prawie nie znane prócz paru imion. Ale ostatecznie dla naszych rozważań rzecz ta ma drugorzędne znaczenie, bo stanowisko owego arcybiskupa, i kościelne, i wewnątrzokrajowe polityczne, możemy sobie odtworzyć na podstawie przesłanek ogólnych. Wiadomo bowiem, że Bolesław Śmiały nawiązał w r. 1074/1075 ścisłe porozumienie z papieżem Grzegorzem VII, które obejmowało i sprawy kościelne, i sprawy polityczne, a zamieniło się w czynne współdziałanie na wszystkich polach. W zakresie kościelnym legaci Grzegorza VII dokonali reorganizacji Kościoła w Polsce po katastrofie z lat 1038 i następnych, stabilizowali siedzibę metropolitalną i stolicę

biskupie, powiększyli liczbę biskupstw itp. Politycznie związał się Bolesław Śmiały z akcją papieża Grzegorza VII na terenie Niemiec przeciw cesarzowi Henrykowi IV i dzięki temu uzyskał od papieża pozwolenie na koronację królewską, której dokonał arcybiskup gnieźnieński w tym samym mniej więcej czasie, gdy upokorzony Henryk IV kołatał do wrót zamku w Canossie. A więc można przyjąć, że Polska w ostatnich latach panowania Bolesława Śmiałego tak kościelnie, jak i politycznie stanęła w „obozie gregoriańskim”. Toteż i ówczesny arcybiskup gnieźnieński, jako nominat tego króla, wraz z nim był niewątpliwie „gregorianinem”, a ze względu na ścisłe współdziałanie króla z papieżem, otrzymawszy paliusz arcybiskupi od papieża, złożył przysięgę obediencyjną z tym aktem związaną, a w całej Europie już zwyczajowo stosowaną. Paschalis II w liście swoim potępia go i piętnuje fakt złamania tej przysięgi przez „skazanie biskupa” bez wiedzy papieża ówczesnego, tj. Grzegorza VII.

Tu zatem dla „sprawy św. Stanisława” przybywa zupełnie nowy fakt, mianowicie że przed owym znanym już z kromki Galla sądem królewskim, który zakończył się wyrokiem na „obtruncatio membrorum”, odbył się sąd kościelny, w każdym razie kościelne rozeznanie sprawy przez ówczesnego arcybiskupa, z tym wynikiem, że arcybiskup uznał biskupa krakowskiego winnym („dampnavit episcopum”), po czym dopiero nastąpiło wydanie go w ręce władzy świeckiej; wyrok sądu świeckiego został — zdaje się — pospiesznie wykonany, zanim wieść o wypadkach doszła do Rzymu i zanim papież Grzegorz VII mógł u króla Bolesława Śmiałego zainterweniować w obronie biskupa. To właśnie, że ów arcybiskup ówczesny nie porozumiał się w tej sprawie z papieżem, choć na mocy swej przysięgi obediencyjnej był do tego zobowiązany, i dopuścił na podstawie własnego tylko rozeznania sprawy do wydania oskarżonego biskupa władzy świeckiej, to wytyka Paschalis II jako brak dyscypliny kościelnej i złamanie przysięgi obediencyjnej, samej zaś sprawy św. Stanisława niestety merytorycznie nie oświetla i nie orzeka o niej ani słowem. Mimo to jest to przyczynek do tej sprawy bardzo ważny, musi też zostać włączony do jej całokształtu.

Fakt to niesłychanie znamienity, że w tragicznie zakończonym konflikcie między biskupem a królem metropolita stanął po stronie króla, a przeciw podwładnemu sobie biskupowi. Sprawa ta w swej istocie dotyczy stosunku ówczesnego Kościoła do państwa w Polsce i na tym tle najpierw musi być rozpoznana i oceniona. List papieża Paschalisa II ułatwia to zadanie. List ten rzuca jaskrawe światło na brak dyscypliny kościelnej i posłuszeństwa hierarchicznego wśród biskupów polskich w stosunku do papieża. Papieństwo właśnie za Paschalisa II usiłowało dopiero kres temu położyć i związać ze sobą arcybiskupa polskiego przysięgą wierności, posłuszeństwa hierarchicznego i jedności z rzymskim Kościołem („fides”, „obedientia”, „unitas”). Stan ten w zasadzie nie może zbytnio dziwić, skoro wiadomo już z dawniejszych źródeł, a ten list to jeszcze raz potwierdza w sposób autorytatywny, bo ze stanowiska samego papieża, że biskupi nasi owego czasu byli nominatami monarchy, nawet mogli nieraz być w gorszym tego słowa znaczeniu jego

„kreaturami”, a więc nie czynić zadość stanowisku i godności biskupiej z punktu widzenia Kościoła. W każdym razie czuli się silnie związani ze swym mocodawcą, t.j. monarchą, któremu godności swe zawdzięczali, a składając mu przysięgę wierności, pragnęli też w praktyce odwdziżyć się władcy wiernością za swe wyniesienie na stanowisko biskupie. Widać to na przykładzie arcybiskupa Marcina, który mianowany przez Władysława Hermana arcybiskupem, w kronice Galia Anonima kilkakrotnie jest nazwany „senex fidelis” — wierny starzec w stosunku do księcia i jego synów, a jak tę „wierność” rozumiał, pokazuje właśnie tu list Paschalisa II, że odmówił złożenia przysięgi obediencyjnej papieżowi, nie chcąc popaść w kolizję ze złożoną już przysięgą wierności dla swego władcy. Że wśród tych nominatów mogły być istotnie gorsze kreatury, to można by zailustrować współczesnym faktem z czasów Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego: oto w r. 1101 — jak notuje rocznik katedry krakowskiej — po śmierci biskupa Lamberta „datus est episcopatus venerabili viro Cazolao ab invictissimo duce Polonorum Wladizlao”. Kim był ten Czasław, nie wiemy bliżej, ale jak się prezentował z punktu widzenia Kościoła, możemy sobie dośpiewać z faktu, że gdy w r. 1104 zjawił się w Polsce uroczyście tu przyjęty legat papieski Gwalo, za pierwszą swą czynność na zwołanym synodzie uznał depozycję, czyli złożenie z godności biskupiej tego właśnie Czasława wraz z drugim jakimś dziś nam imiennie nie znanym biskupem. Taki był episkopat ówczesny pod względem swego stosunku do władcy i kraju, i do głowy Kościoła. I taki był jeszcze długo, bo inwestytura świecka u nas przetrwała — jak wiadomo — jeszcze sto lat, aż do czasów Henryka Kietlicza i przeprowadzonej przez niego w porozumieniu z papieżem Innocentym III reformy kościelnej. Dopiero wtedy zrównała się Polska w swej organizacji kościelnej z innymi krajami, które już dawniej, jak np. Węgry już od r. 1106, przyjęły zasadę wolnego wyboru biskupów przez kapituły, rezygnując z monarszej, świeckiej inwestytury. Że episkopat nasz np. w połowie XII w. nie różnił się swym stanowiskiem od arcybiskupa Marcina w zakresie stosunku do papieża, wystarczy przypomnieć zajścia z lat 1147/1148 i następnych, gdy to, wbrew bullom papieskim i zarządzeniom wydanym na miejscu w Polsce przez legata papieskiego, episkopat nasz z arcybiskupem na czele odmówił głoszenia ekskomuniki rzuconej przeciw swym książętom i unicestwił całą interwencję papieską w sprawie Władysława Wygnańca. Może to było dobre z punktu widzenia politycznej niezależności i suwerenności kraju, ale pod względem kościelno-organizacyjnym było jaskrawym objawem nieposłuszeństwa dla głowy Kościoła, wprost episkopat ówczesny pod względem swego stosunku do władcy i kraju, i do głowy Kościoła. I taki był jeszcze długo, bo inwestytura świecka u nas przetrwała — jak wiadomo — jeszcze sto lat, aż do czasów Henryka Kietlicza i przeprowadzonej przez niego w porozumieniu z papieżem Innocentym III reformy kościelnej. Dopiero wtedy zrównała się Polska w swej organizacji kościelnej z innymi krajami, które już dawniej, jak np. Węgry już od r. 1106, przyjęły zasadę wolnego wyboru biskupów przez kapituły, rezygnując

z monarszej, świeckiej inwestytury. Że episkopat nasz np. w połowie XII w. nie różnił się swym stanowiskiem od arcybiskupa Marcina w zakresie stosunku do papieża, wystarczy przypomnieć zajścia z lat 1147/1148 i następnych, gdy to, wbrew bullom papieskim i zarządzeniom wydanym na miejscu w Polsce przez legata papieskiego, episkopat nasz z arcybiskupem na czele odmówił głoszenia ekskomuniki rzuconej przeciw swym książętom i unicestwił całą interwencję papieską w sprawie Władysława Wygnańca²⁷. Może to było dobre z punktu widzenia politycznej niezależności i suwerenności kraju, ale pod względem kościelno-organizacyjnym było jaskrawym objawem nieposłuszeństwa dla głowy Kościoła, wprost buntem przeciw papieżowi i jego legatom. Jeśli tacy byli biskupi i arcybiskupi nasi XI i XII w. wśród znanych nam osobistości, mamy prawo przyjąć, że taki również był ów arcybiskup — Henryk czy Bogumił — z czasów Bolesława Śmiałego: niewątpliwie jako wybraniec tego króla i jemu zawdzięczający swe stanowisko w kraju i w Kościele prowincji polskiej był mu wierny tak, jak ów „senex fidelis” Marcin jego następcy Władysławowi Hermanowi. Możemy więc przyjąć na tym tle, jako rzecz w wysokim stopniu prawdopodobną, iż w swym sądzie nad biskupem krakowskim Stanisławem, gdy tenże popadł w nie znany nam co do treści konflikt z królem, podzielał w zupełności stanowisko króla i podzielał jego zarzuty czy podejrzenia przeciw Stanisławowi, zgodnie z królem uznając go za „traditor”, wydał go po myśli króla, a zapewne nawet na żądanie króla, sądowi świeckiemu do ukarania „pro traditione”.

Dlatego tę kwestię uznałem za stosowne szerzej rozważyć, bo w tym świetle widzimy, że orzeczenie skazujące, wydane przez arcybiskupa polskiego w r. 1078/1079 na biskupa krakowskiego, nie przesądza bynajmniej etycznej strony owej „traditio”. Mogła ona płynąć z najszlachetniejszych etycznie pobudek, ale skoro w praktyce życia przedstawiała się jako opór, czy też wystąpienie przeciw królowi, skwalifikowana została zgodnie, tak przez króla, jak i przez wiernego mu, (może ślepe) mu oddanego ówczesnego arcybiskupa, a zapewne też i przez innych wiernych królowi biskupów. A że w ten sposób cały przewód sądowy w sprawie św. Stanisława musiał się przedstawiać jako formalnie poprawny, skoro wyrok opierał się i na orzeczeniu metropolity, jako zwierzchnika kościelnego, i na orzeczeniu króla względnie sądu świeckiego, nie mógł papież ówczesny, zaprzyjaźniony politycznie z Bolesławem Śmiałym, Grzegorz VII, wystąpić merytorycznie przeciw wyrokowi, a jedynie wysunąć można było obiekcję, że to, co się stało, stało się „preter con-scieniam Romani pontificis”, jak to wypomina w trzydzieści lat później arcybiskupowi Marcinowi papież Paschalis II.

Możemy przyjąć, że jakiejś konkretnej akcji papieża Grzegorza VII w sprawie wykonanego na biskupie krakowskim wyroku nie było, w szczególności nie było klątwy na króla czy interdyktu na kraj, bo zapewne, wywlekając tę sprawę z niepamięci sprzed trzydziestu lat, byłby Paschalis II i o tego rodzaju reakcji wspomniał. Że jej nie było, wynikać się też zdaje z dalszego przebiegu

sprawy. Słusznie zauważył Gębarowicz, że po prostu nie starczyło na to czasu, bo wypadki potoczyły się już lawiną. Z kroniki Galia Anonima wiemy bowiem, że miejscowe społeczeństwo silniej niż oficjalne czynniki zareagowało na wykonany na biskupie jako pomazańcu bożym surowy, cielesny wyrok. Sam kronikarz daje wyraz opinii potępiającej króla: „regem vindicantem sic se turpiter”, króla tak szpetnie (haniebnie, sromotnie) się mszczącego. „Szpetną zemstą” określił drakoński wyrok. A o stanowisku społeczeństwa powiedział: „illud enim sibi [= królowi] multum nocuit”, wielce mu to bowiem zaszkodziło, że do grzechu dodał grzech i biskupa za zdradę wydał na „ob-truncatio membrorum”. Reakcja była silna i gwałtowna, skoro Bolesław Śmiały widział się zmuszony (może bez walki, opuszczony przez wszystkich) uciekać z Krakowa wraz z synem nieletnim i z żoną na Węgry, gdzie rychło na wygnaniu śmierć go osiągnęła, nim zdołał zorganizować wyprawę celem odzyskania utraconego tronu w Polsce. Otóż to wygnanie króla i jego rychła śmierć czyniły ewentualną klątwę papieską na niego bezprzedmiotową, interdykt na kraj niepotrzebny, bo ten kraj ujął się niejako za biskupem, skoro przyczynił się do wypędzenia króla z kraju. Tak więc — mimo wszystko stosunkowo skromnie — przedstawiają się nowe wyniki w „sprawie św. Stanisława”, oparte na tym naprawdę nowym źródle, jakim jest list Paschalisa II z lat 1104—1115. Wzbogaca on nasze wiadomości tym, że: 1) potwierdza opartą dotąd na jednym tylko źródle, tj. kronice Galla Anonima, wersję o wyroku sądowym na biskupa, 2) podaje zaś ten nowy fakt, że wyrok sądu świeckiego na „obtruncatio membrorum pro traditione” poprzedzony był orzeczeniem kościelnym miejscowej hierarchii, tj. przede wszystkim ówczesnego arcybiskupa gnieźnieńskiego, nie znanego nam bliżej poza tym, że jako nominat królewski podzielił w tej sprawie punkt widzenia i zarzuty swego władcy.

Merytorycznie owa „traditio” Stanisława nadal pozostaje nie znana, mogła płynąć z najbardziej etycznych pobudek, a skwalifikowana została tylko politycznie. Więc jak już przed laty, tak i obecnie mogę podtrzymać zestawienie „traditio” Stanisława z taką polityczną „traditio” papieża Grzegorza VII, który też przez cesarza Henryka IV i wierny mu episkopat niemiecki uroczyście ogłoszony został za zdrajcę państwa: „traditor regni”.

Źródło: Roman Grodecki, *Sprawa św. Stanisława*, Kraków 1979.